

IGNACY BOBRAS - WSPOMNIENIA (oprac. Wiesław Domaga)

29.07.2012.

Historia Ziemi Przedborskiej to takżę historia jej mieszkańcųw. Wyjemy wśrųd nich, potem za szybko odchodzĄ, a my powoli zapominamy o nich. PrzypomnĄ tutaj jednego z nich, Pana Ignacego Bobras.

Fot. 1. Ignacy Bobras - zdjęcie wykonane zaraz po wojnie.

Opracowanie poniższe powstało, przede wszystkim, ze wspomnień Ignacego spisanych w latach 60 XX wieku i pamiątek jego rodziny.

Fot. 2. Fragment wspomnień Ignacego Bobras.

BOBRAS Ignacy urodził się 24 stycznia 1908 r. w Nosalewicach. Jego ojcem był Piotr Bobras (1877-1938), a matką Elżbieta (1884-1916) z domu Kowalska z Gaju Policzko. Miał trzy siostry: Zofię (1906-1970), Anielę (1909-1964) i Mariannę (1911-1984) oraz dwóch braci Jana (1904-1979) i Józefa (1913-1974).

Początki swojego życia opisał w swoich wspomnieniach w taki sposób:

Wyliłmy w bardzo złych warunkach. Tak, jak wspominam, pola mało i licha chata. Stara się obaliła. Rodzice w 1910 postavili nową. Stodołę i oborę też nową, ale z lichego drzewa. W 1914 roku wybuchła wojna światowa, jeszcze bardziej się warunki życiowe pogorszyły tak, że można to nazwać wegetacją życiową. Ojciec z matką, jak mogli pracowali, ale to mało pomagało. Wojska się zmieniały - to już carskie, to już niemieckie, to austriackie, i tak w kółko.

W 1916 roku drugiego lutego, matka umiera przy porodzie, ponieważ nie było do odebrania dziecka ani lekarza, ani akuszerki. Zwykła baba wiejska spowodowała krwotok. Matka musiała umrzeć, chociaż ojciec konia chciał zajeżdżić. Chciał przywieźć lekarza lub dobrą akuszerkę, ale gdzie zjechać - nie zastał. Tak to było w owym czasie.

No i zmuszony był przywieźć śmierć do matki.

Od onego czasu nam się jeszcze gorzej żyło. Tylko, że była siostra ojca, a nasza ciotka Józefa (Młynarczyk), bezdzietna, to nam wiele pomagała. Dzieciarni - jak by nie było - sześciu. Najstarsze 12 lat, najmłodsze 3 lata. To było dla ojca kłopot nie mały. Obrobić i pole, i inwentarz, i dzieci. Jakby nie było - w owym czasie gdzie na niskim poziomie była uprawa ziemi, a na dodatek nie dobrać, że wojna wrze na całym świecie, to jeszcze lata mokre. Nieurodzaj, a tu jeszcze rekwizycje na rzecz wojska. Chodzą, szukają za żywnością w każdej dziurze. Nie dobrać, że w budynkach, to i drutami koło budynków, na każdym wzgórku, na każdym miejscu.

Pamiętam, że były takie okresy, że za kawałek chleba, to nie wiem co bym zrobił. Krowa jedna, i małe cielę się pozostało, i to nam chcieli zabrać. Ale, że cała dzieciarnia uczepliła się tej krowy i w pęcz, tak, że tą krową uratowało. Tę naszą żywicielkę. I rzeczywiście, była to nasza żywicielka. Mleka dawała dużo i to nas ratowało. A takich zajęć było kilka. Pamiętam takie okresy, że starsze dzieci robiły koło domu, a młodsze szły na jagody. Tylko, że jagód było dużo. Tak się prędko nzbierało i do domu biegiem. Zalewało się mlekiem i takie było pożywienie. Gruszek w polu też było dużo i rodziły dużo. Drzewa na opa też było dużo, to ulęgałki się suszyły bez przerwy w piecu. Na zimę się składało w beczki. Tak, że znów zimę ratowało się gęstą. Gruszki na sucho, na wodzie, z mlekiem. I to było dobre. Jakie ślady były do odzienia, to ojciec lub ciotka naprawiali i się chodzilo. A z obuwiem - to koło domu na bosaka lub w trepach, które nie zawsze były. A lepszy trochę but to był na wiązta. Co niedzielę inne dziecko szło do kościoła, bo ojciec tego przestrzegał, żeby kościoła nie opuszczał.

W 1917 roku jeszcze gorzej się robi, bo umiera nasza opiekunka - ciotka Józefa i odpada dodatkowa

opieka.

Jego ojciec sam wychowywał dzieci, ciążko pracując, pamięta tak że o ich wykształceniu, początkowo Ignacego uczył jego chrzestny, później ucząszczał do miejscowej szkoły. Tak to opisał:

Chociaż, jak wspomnieliśmy - ojciec nie był gramotny - ale mówił nam, że trzeba nauczyć się czytać i pisać. Zmówił mi z chęcią oświeconiejszym od siebie (a to był mój chrzestny), żeby uczył nas czytać i pisać. Kupił nam elementarz i tabliczki z rysikami. I zacząłliśmy chodzić się uczyć - to jest brat Janek i ja. A ten elementarz to był z obrazkami. Na przykład: Aa szła baba, Cc z koszykiem itd. Ale poznawaliśmy litery i wyrazy.

Nauczycieli w tych latach wojennych nie było. Był gwałt i panował tyfus brzuszny i tzw. hiszpanka. Bardzo dużo ludzi umierało. Chociaż u nas wszyscy chorowali i to bardzo, to nikt w domu nie umarł. Pamiętam taki okres, że nie miałem, kto podałby wody do picia, bo wszyscy leżeli. Najdłużej ja i Maryśka my wytrzymaliśmy, że jako nas się choroba nie miała. Spaliśmy na piecu do pieczenia chleba, bo nie było gdzie. Ale i nas wzięło, tylko, że już Zosia i Janek zaczęli wstawiać, i oni byli na zmianę.

W latach 1919-21 też lepiej nie było, tylko, że my już byli wiśni i mocniejsi, to i robota szła lepiej. Wojna trwała, to z żywnością też dobrze nie było. A z nauką to tak samo. Władze oświatowe przysłały nauczyciela, uczył 3-4 miesiące i już go odwozili do wojska. Najdłużej to był nauczyciel, którego nazywał się Mieszczakowski, syn miejscowego gajowego. A reszta to było kilku, tak, że byli po bardzo krótko. Ja na miejscu skończyłem tylko cztery oddziały. Miałem ochotę się uczyć, ale do miasta chodzić nie mogłem. Raz, że nie miałem, w czym, a po drugie nie było, za co kupić księżek ani zeszytów. A w dodatku ojciec bardzo chorował, to w domu trzeba było robić.

Tak, wiąc ze szkoły, dla nas wszystkich z domu, wyszło bardzo źle. Ja, co miałem najwięcej chęci, to najwięcej zdobyłem.

Fot. 3. Świadectwo Szkolne Ignacego Bobras za I półrocze klasy IV w roku 1923.

Warto zwrócić uwagę na ocenianie uczniów w tych latach. Ocena składała się z trzech części:

- Sprawowanie się - oceny: chwalebne, zadawalające, odpowiednie, nieodpowiednie i naganne.
- Pilność - oceny: wytrwała, dobra, dostateczna, niedostateczna.
- Postęp w naukach - oceny: bardzo dobry, dobry, dostateczny, mierny i niedostateczny.

Ignacy, już od najmłodszych lat, ciężko pracował:

W domu, w takich warunkach, w jakich żyliśmy, trzeba było od najmłodszych lat ciężko pracować. Byłem słaby, nieodżywiony i na dodatek gnębiła mnie ciężka choroba, która nie wiem do dziś jak się zwała. Trzymała mnie do dwudziestego roku. A ta choroba polegała na tym, że jak było bardzo bystre słońce lub jak mnie obleciał dym (a przeważnie z kłody ziemniaków), bolały mnie gałki oczu. Wtedy musiałem się kąpać, czy to na polu, czy na łące i przespować się dwie godziny. I po chorobie. Tylko osłabiony byłem. Ale to nie było. Raz na tydzień lub dwa razy, albo raz na dwa tygodnie lub raz na miesiąc. I jeszcze taki szczegół. Nie mogłem jeść żadnych klusek pszennych, a szczególnie zacierki z mlekiem. Jak zjadłem, to zaraz oddałem.

Od siedemnastego roku zacząłem pracować - zimą w lesie, a latem na budowach. Tak się robiło na dziko, aby tylko zarobić parę złotych. Chciałem, żeby ojciec oddał mnie do jakiegoś rzemieślnika, ale raz, że w domu nie miał kto robić, a po drugie, to ojciec nie miał pieniędzy na naukę. Najgorsze to, że w domu nie miał kto robić, bo brat Janek pojechał na roboty do Niemiec, a ja, jako najstarszy nie mogłem zostawić młodsze rodzeństwo na łasce losu i ojca chorego. Tak, że co w domu się obrobiło, to się wynajmowałem do różnych robót.

Tak jak wspomnieliśmy, zimą w lesie i w domu wszelkie roboty. A w lesie też była bardzo ciężka robota, przy wyrzbie lasu. A ubezpieczonym się nie było. Ta praca w lesie wyglądała tak: po robotach w polu jesienią, brało się działkę lasu we dwóch. Sosny były duże, to

siÄ zÄynaÄo, obcinaÄo gaÄÄzie, korowaÄo sosny z kory, a chojnÄ tj. chrust trzeba byÄo wyciÄgnÄÄ cna linie lasu - poza zrÄb i wynosiÄ drzewo opaÄowe i gaÄÄzie. Z tego ustawiaÄo siÄ sÄgi tzw. metry opalowe. Bardzo chorowaÄem na zapalenie pÄuc, tak, Åe maÄo mi siÄ naleÅaÄo - bez doktora, bez opieki lekarskiej.

To byÄa bardzo ciÄÅka robota. SzÄo siÄ o lasu od Äwitu do nocy. A jak przyszedÄem do domu, trzeba byÄo zrobiÄ obrzÄdek. KoÄo konia, dwoje bydÄa, dwie Äwinie, urÄnÄÄ sieczki rÄcznie i tak, co dzieÄ. A wiosna, latem, to siÄ robiÄo na rÄÅnych budowach, jako cieÄla. ChodziÄo siÄ na piechotÄ do miasta, co dzieÄ 4 km., albo na wieÄ. PracowaÄo siÄ za marne pieniÄdze - 3-4 zÄ dziennie. Za te pieniÄdze trzeba byÄo zanieÄÄ do domu cukru, soli i rÄÅne potrzebne rzeczy. Z gospodarstwa nie byÄo Åadnego dochodu i nie byÄo, za co coÄ kupiÄ.

W 1931 roku, w marcu, zostaÄ powoÄany do wojska, do Skierniewic. Tam byÄ 6 miesiÄcy. Po szeÄciu miesiÄcach skierowany zostaÄ na granicÄ sowieckÄ, do BudsÄawy. Na granicy byÄ 18 miesiÄcy - 6 miesiÄcy I Kompania Olkowiecze, a 12 miesiÄcy na Skorodzie na straÅnicy nad rzekÄ WilijÄ.

Fot. 4. PrzykÄadowe strony ksiÄÅeczki wojskowej Ignacego Bobras.

Tutaj doksztÄca siÄ, koÄczy siedmioklasowÄ szkoÄÄ podstawowÄ. UkÄada takÅe plany na przyszÄoÄÄ:

Tam na granicy, jak miaÄem czas, to rozmyÄlaÄem sobie, aby po wyjÄciu z wojska zaÄoÅyÄ jakiÄ handel. I listownie brata JÄzka i siostrÄ MaryÄkÄ urobiÄem, Åeby przygotowali siÄ do tego handlu. MiaÄ taki sklepik jeden z Nosalewic - nazwiskiem Juszczyk - ale miaÄ sÄabÄ gÄowÄ do handlu. MieliÄmy to od niego przejÄÄ.

Po wysÄuÅeniu wojska wraca do ojca i pracuje w gospodarstwie, ima siÄ rÄÅnych prac dorywczych, najczÄÄciej sÄ to roboty ciesielsko stolarskie, podobnie jak przed wojskiem. Zajmuje siÄ teÅ handlem, sprzedaje rÄÅne towary przywoÅone z Przedborza.

ZaczÄÄem znÄw pracowaÄ jak przed wojskiem, tylko samodzielnie: tak w lesie, jak i w polu. W lesie dobraÄem sobie kolegÄw - Kwiatkowskiego Stefana i Zganiacza JÄzefa. Oni byli siekiernikami, a ja toporem, czesaliÄmy slipry do kolei. To jest praca bardzo ciÄÅka. PracujÄc od Äwitu do nocy, we trzech zarabialiÄmy do piÄtnastu zÄotych. Ale przyszedÄem do przekonania, Åe we dwÄch nam lepiej wyjdzie i tak robiÄem. PracowaÄem tylko z jednym Zganiaczem i wychodziÄo nam do trzynastu zÄotych dziennie. Siekiernikowi naleÅaÄo siÄ zawsze 1/3, to byÄo dla mnie wiÄcej pieniÄdzy, ale musiaÄem siÄ wiÄcej narobiÄ. Ale stale juÅ myÄlaÄem o handlu, tak Åe uskÄadaÄem sobie parÄ zÄotych.

Fot. 5. ZaÄwiadczenie wydane Ignacemu Bobras przez ZarzÄd Gminy w Przedborzu o jego pracy w latach 1927-1936.

Po śmierci ojca 1936 r. zaczyna handel w Przedborzu, sprzedaje naczynia kuchenne, szkło galanteryjne i szkło okienne. Wspólnie z bratem zaczynają wyrabiać już drobne artykuły blacharskie: pralki, tarki, sitka, brytfanny, obrazy, itp. Szybko następuje rozwój. Tak o tym napisał:

Wreszcie zdecydowałem się na handel. Była taka większa komora. Z tego zacząłem na co w rodzaju sklepiku przerabiać. Był Nowy Rok 1936. Zrobiłem paki, kontuar i dbałem o dostarczenie towaru. Przywoziłem na rowerze z miasta drobne towary, a grubsze wozem. Maryśka towar sprzedawała. Ja nadal robiłem te paki i dbałem o dostarczenie towaru. Siostra pomagała w handlu i obrabiała inwentarz. Ojciec od Nowego Roku poświęcił się do pracy, to pracy było jeszcze więcej. Ale w pracy nie przestaję, tym bardziej że widzę, że coś z tego handlu będzie. Chociaż są to grosze, ale te grosze plyną. Klientów coraz więcej. Chociaż zacząłem handel na pożyczanej wadze, to już kupiłem wagę nową. Tak, że idzie dobrze.

Zaczynamy myśleć o handlu w mieście, a zarazem sprowadzamy towar nie z Przedborza a z Radomska. Sprowadziliśmy szkło okienne, które zaczynamy propagować po wsiach. Zarazem uczymy się szklania i kroić szkło.

Początki są ciężkie, bo nie wiemy jak i co się robi. Ale wiedzę i wprawę zdobywamy tak, że interes się powiększa. Tak prowadzimy ten interes w Nosalewicach do sierpnia. Dostajemy trochę pieniędzy z Francji od brata.

Wynajmujemy lokal w Przedborzu, a że ciasny, to tym się nie zrażamy. Zaczynamy handel: naczynia kuchenne, szkło galanteryjne i szkło okienne. Zaczyna postępować wielka konkurencja z Żydami. Cały handel był w rękach Żydowskich.

Tak się maczamy - ja w Przedborzu, Maryśka w Nosalewicach, a Józek między nami. Józek ma gospodarstwo i pomaga mnie i Maryśce.

To lokum w Przedborzu jest ciasne - 2 m. na 3 i pełno, przebite deskami. Za tymi deskami jest Żydowska jątka z miśsem. Podśuchują nas, dużo nam robią na złość, ale tym się nie zrażamy. Jak wspomnieliśmy, ja sprzedaję i towar sprowadzam, a ciążko idzie, bo na tym towarze się nie znamy. Ale jakoś idzie. W czerwcu zgłasza się pewien Żyd, że chce sprzedać towar ze sklepu. Do obejrzenia tego towaru, wzywam Józka i Kieruzela Ignacego, młodszego naszego szwagra, i kupujemy ten towar na spłaty. Na tym towarze dobrze zarobiliśmy.

Jesienią tego roku po sąsiedztwie zija handel niejaki Margas Jan. Od niego biorę ten lokal i przenosimy się do nowego. Tam już idzie inaczej. Sklep przestronny i dodatkowy większy lokal na magazyn i kuchnię. Zaczynamy interes szerzej, bo widzę, że nie ma strat tylko zysk. Konkurencja trwa z Żydami. Zaczynamy wyrabiać już drobne artykuły blacharskie: a to pralki - tarki, sitka, brytfanny, obrazy, obrazki i jeszcze co się da. Ten sklep w Nosalewicach już dobrze prosperuje, oddajemy go Maryśce. Łączy się z nią Kieruzal Ignacy. Pole oddajemy Zosce. Tylko to ona robiła, że jej oddaliśmy bez umowy. Gaj Stach tj. szwagier umiera w 1938 roku. Zoska mieszka u Gajów, a tu się gospodarzy. My z Józkiem prowadzimy handel coraz szerzej, przywożąc towar z hurtowni z Radomska, z Częstochowy, z Piotrkowa, a pocztą z Warszawy, jak np. haczyki, żyłki, wędziska na ryby. Z Poznania okucia meblowe, z Częstochowy lustra, obrazki różnych wielkości i widokowe, ramy do obrazków i obrazów. Wyrabiamy coraz więcej - sami - obrazów różnych wielkości, szklimy coraz więcej okien. Wyrabiamy coraz więcej artykułów blaszanych. Już nas bez przerwy robi przy tych pracach czworo ludzi. Jest już łatwiej ze sprowadzeniem towaru. Kupcy zaczynają już sami przywozić różne towary. Przywożą garnki kamienne, różne rodzaje różnych rodzajów i rozmiarów, flakony, szklane kieliszki, patery itp. Rzec można, że idzie dobrze.

Fot. 6. Sklep Ignacego Bobras na ulicy Warszawskiej, zdjęcie zrobione w lipcu 1939 r. przed sklepem stoją (od prawej): Józef Grabalski i brat Ignacego - Józef.

Przychodzi rok 1939. Handel idzie dobrze tylko, że echa polityczne coraz rozprzestrzeniają się. Nas to nie zraża, robimy coraz więcej i idzie coraz lepiej.

Ignacy ożenił się w sierpniu 1939 r. ze Stanisławą Smok (1921-2000), zaraz wybuchła wojna,

tak opisał pierwsze dni wojny:

Na początku września 1939 roku już są Niemcy w Przedborzu. A przed 1-wszym września agenci rzucają hasła i różne strachy do ucieczki na wschód ludności cywilnej - przed Niemcami. I tak się zaczęło. Pełne są drogi uciekinierów od zachodu. Prowadzą krowy, owce, co się da na wózkach wiozą. Nie ma mowy, żeby to powstrzymało. Władze robią co mogą? - jest powołana policja rezerwowa, jest powołana milicja obywatelska do porządku, ale też to nic nie daje. Strach jest już paniczny. Kopią rowy przeciwlotnicze - ma się rozumieć ludność cywilna - pod kierunkiem różnych komitetów. Okna ludności uszczelnia przeciw gazom. Kleją szyby różnymi paskami - różnie. Okna jest rozkaz zaciemniać, ale to wszystko robi coraz większy chaos.

Dopiero robi koniec tym przygotowaniom wejście trzech człłgów do Przedborza i objęcie mostu. To się dzieło w piątek przed wieczorem. Z człłgu, który przeszedł most na prawą stronę - otworzył ogień do całego tego zbiegowiska, to jest tych uciekinierów. Od tych strzałów byli i zabici i ranni. I kilka koni zabitych. W kilka minut wszystkie ulice opustoszały. I pomyśleć, że nikt nie wiedział - czy to Niemcy, czy to są dywersanci niemieccy. Bo i takie były wersje. Wojska żadnego w mieście nie było, tylko jak wspomnieliśmy - policja i milicja obyw. Ale to wszystko praktycznie uciekło z miasta w stronę lasu.

Łączę z kilkoma ludźmi i ludźmi umieściliśmy pod oknami bezpieczną od pocisków, zamknęliśmy sklep i poszedłem na zwiad. Ostrożnie wyglądam zza węgła - tak jest - wychodzi z człłgu jeden Niemiec, drugi, ale już nie ma nikogo na ulicy. Wracam do mieszkania, ludzi wypuszczam, zabieram drobiazgi do koszyka i zamykam mieszkanie. Łączę podworkami, między wapiennikami wyprowadzam na drogę do Tarasu. Jedzie furmanka, Łączę zabiera, a ja wracam do miasta. Człłgi stały na tym samym miejscu, tylko reflektorem oświetlały przedpole.

Na drugi dzień zaczynam znów zwiad Przedborza. Wojska jeszcze nie ma - ani polskiego, ani niemieckiego. W niedzielę nasza policja spaliła most na Pilicy. Już parę plutonów wojska zjawiło się od wschodu. Wzieliśmy klucz od Kalinowskiego, aby mu wyprowadzić konia z budynku Konopackiego. Woda była bardzo płytka. Jak tego konia wyprowadziliśmy, zaprzęgnęliśmy, to pomyślałem, że trzeba zabrać ze 3 metry maki. Akurat nadszedł Łączę, to pomógł mi włożyć taci maki na wóz i jazda przez rzekę.

Zajeżdżem przed swój sklep i zamiast włożyć na wóz najdroższe rzeczy, to ja włożyłem garnki używane, żeby ludzie mieli w czym gotować jedzenie. A dobry towar się został, bo mówiłem, że to nie ucieknie. A już połowa Przedborza była wypalona. Jak taci maki zawiozłem na Taras, to Kalinowski zaraz zaczął handel bułkami a ja głodny.

Wracam do Przedborza i spotykam się z wojskiem polskim. Robimy różne zwiady i wywiady i ustaliliśmy, żeby chodzić na wschód i się mobilizować. Wychodzimy pod Fałków, a tam pełno Niemców idzie. Mówimy więc - po co idą dalej, jak Niemcy już w Końskich. Wracamy więc. Przychodzimy na Taras, a tam mówi mi, że cały Przedbórz obrabowany. Łączę jest z moją siostrą w Przedborzu. Ja też maszeruję na Przedbórz.

Zanim doszedłem do sklepu zostałem kilka razy zatrzymany przez Niemców i zapędzony do roboty, ale udało się uciec. Doszedłem do sklepu, a tu już nie sklep, nie mieszkanie, tylko wielki łamieć. Drzwi bez zamków, okien nie ma, wszystko zmieszane, rozgrabione. Łączę pacy. Mówię Łączę, że trudno, bierzemy się za porządek. Zostało się trochę bubli i z tych łamieć wybraliśmy koszyk pełny metrowy różnych drobiazgów. Zaraz przystąpiliśmy do naprawy zamków i szklenia okien. Jak zobaczyli Niemcy, że ja szklię, to i Niemcom musiałem szklić. Ale pacy. Tak się zaczęło znów od nowa, od nowa praca. Pieniądzy nie ma, towaru nie ma. Trochę zostało szkła okiennego, to szkliło się okna. Te drobiazgi sklepowe zaczęło się sprzedawać, bo trzeba żyć...

...Niemcy na razie nic nam nie szkodził, wrogów nie mieliśmy, to i nie mieliśmy przeszłość. Łączę byli sprowadzeni do getta, handlować im nie było wolno. Tym bardziej mieliśmy więcej roboty, nie było wytchnienia.

Fot. 7. Zaświadczenie wydane Ignacemu Bobras 07.09.1940 r. przez Zarząd Miejski w Przedborzu o prowadzeniu handlu.

Na początku stycznia 1940 r. wstępuje do Z.W.Z. Przysięga składa w obecności Barana Rocha (ps. „Kula”) i Grabalskiego Józefa (ps. „Konar”). Przyjmuje pseudonim „Piec”. Jego zadaniem było werbowanie „dobrych Polaków” do walki z okupantem o wyzwolenie Polski. Tak opisał początek okupacji:

Zaczęła się konspiracja przeciw Niemcom, żeby walczyć. Ja i Józek przystąpiliśmy do tej konspiracji, pod nazwą Z.W.Z. Ja występowałem pod nr jedenaście, pseudonim PIEC. Przybyło więcej pracy - handel i konspiracja. Zaczęliśmy zbierać broń, amunicję, jaką podeszliśmy. Nie gardziliśmy żadną bronią. Dorabialiśmy różne części do starych typów karabinów. W tym najwięcej był pomocny Kaczkowski. Miał warsztat kulusarski - to ułatwiało pracę. U nas w sklepie, że handel szedł, to nie było podejrzeń? o różne odprawy. Tak my zostaliśmy tak konspiracją zaabsorbowani, że zaczęliśmy zaniedbywać handel. Ale mówiliśmy sobie, aby walka z Niemcami, to po zwycięstwie będzie lepiej.

Wtedy Niemcy w październiku. Zagnali ich i zaprowadzili do Gorzkowic, do pociągu, a pociągiem do Treblinki.

Aresztowania, wywożenia też się odbywały bez przerwy, ale się na to nie zważało. Ona też do różnych prac była używana, np. do przenoszenia różnych materiałów. Nawet nie wiedziała co niesie, ale szła.

Jak my już mieli trochę broni, zaczęliśmy robić wypadki z tą trochę bronią i zdobywać lepszą. Nie tylko trzeba było handlować, chodzić na różne odprawy, ale i walczyć z młotami i gadzinami. Trzeba było zbierać wszelkie wiadomości. Nastąpiła potem reorganizacja Z.W.Z. na AK, nastąpiła większa angaż, podział na oddziały. Broń, jaką posiadaliśmy, w lesie koło Smoka, zakopaną w dużej beczce - trzeba było stale konserwować. Dwóch nas tylko o tej beczce wiedziało, w którym miejscu jest zachowana - ja i szwagier Władek.

Zanim zostały utworzone oddziały, to wyznaczałem na akcję chłopaków odważnych, bojowych. Dostawali rozkaz ci chłopcy, że mają się stawić za Masłowicami, czy koło Sokolej Góry i w pojedynkę maszerowali na oznaczoną godzinę. Broń wydawałem na wóz ze słomą lub z nawozem lub perzem - bronią, pług na wierzch i jazda przez Pilicę, polnymi drogami - na oznaczone miejsce zbiórki. Po akcji, po odskoku od miejsca akcji, co wynosiło ok. 30 km, chłopcy przynosili broń np. do Łączkowic, czy do Korytna i znów na furmankę. Na miejscu bazy broń czyściła i zachowywała. I tak co tydzień lub dwa razy w tygodniu. A grypsy plynęły bez przerwy. Całkowitym gołcem był Józek - on bez przerwy jeździł.

Tak, że handel został zaniedbany! W końcu trzeba się było kryć przed Niemcami. Niemcy sklep kazali zamknąć. Mieszkanie żona opuściła. Poszła do ojców na Taras. A ja byłem w tym wszystkim tak zajęty, że zwracałem się kilka razy do przełożonych, aby przydzielili mnie do lasu, do oddziału bojowego. Choć z oddziałami tymi bez przerwy miałem styczność. A oni mówili, że w terenie jestem potrzebniejszy niż w oddziale. Bez przerwy byłem narażony na wyspę. Nie było dnia, żeby coś przy sobie nie miał lub nie miał coś trefnego. Ale ci, trzeba było słuchać przełożonych. Ile to razy przechodziłem się przez rzekę. Latem lub zimą to nic. Ale jesienią, wiosną to było najgorzej. Niemcy zabrali wszystkie łódki, trzeba było przechodzić w lodowatej wodzie, jak łód plynęła (jak w gardle ąwiartka spirytusu), ale nie było wyboru. Spanie pod pierkami, na strychu i to zimą, a mróz jak diabli i najgorzej rozebrałem się i ubrałem. Kilka razy Niemcy strzelali, ale jakoś nie trafili, udało się ujść.

Fot. 8. Zaświadczenia wydane Ignacemu Bobras przez Zarząd Miejski w Przedborzu o prowadzeniu i likwidacji sklepu w roku 1943.

Ignacy Bobras bierze udział w wielu akcjach przeciwko okupantowi. Cytaty poniższe pochodzą z ksiągki Bogumiła Kacperskiego i Jana Zbigniewa Wroniszewskiego: „Koneckie i powiat konecki 1939 - 1945” z części V „Konspiracja konecka 1939 - 1945”. Struktury terenowe: podobwody i placówki.

...Ppor. rez. Jan Kaleta „Postrach”; podaje w swojej relacji szkielety dwóch plutonów placówki Przedbórz:

Pluton nr 61 - „Wydra”; Stan - 72 ludzi.

Dowódcy plutonu:

1. „Mars”; - Marian Margas
2. „Komar”; - Józef Nowak - pchor.

Dowódcy drużyn:

1. „Jug”; - Włodzimierz Jakubowski - plutonowy
2. „Siodło” - Kazimierz Jezierski - kapral
3. „Piec”; Ignacy Bobras - st. strzelec... (strona 194).

...Do najbardziej znanych wyczynów „Robotnika” należą:

- Udany zamach (25 V 1943, w dzień targowy) na szefa gestapo w Radomsku i jego zastępcę (wykonali: „Robotnik” i „Staw”; - Zygmunt Czerwiński).
- Udział w odbiciu (7/8 VIII 1943). z więzienia w Radomsku około 200 ludzi, głównie z Rzejowic i Granic przygotowanych do wywiezienia do obozów koncentracyjnych lub skazanych na śmierć. Całkowicie dowodził „Andrzej”. Udział w akcji brali również z Przedborza: „Robotnik”, „Konar”, „Piec”, „Wawel”, „Siodło”, Trąbacz i inni... (strona 195 i 196).

...W listopadzie 1943 r. zrywano linię telefoniczną na części odcinka Przedbórz - Koneckie. Grupą w której m.in. uczestniczyli „Konar” i „Piec”, dowodził „Komar”;... (strona 196).

...W Urzędzie Miejskim i Gminnym w Przedborzu zniszczono listy dostaw zboża, mięsa, mleka. Akcją, w której udział wzięli: „Piec”, „Siodło”; i „Czajka”; oraz Nowakowski (stolarz) i Zenon Gadyszewski „Trąbacz”; dowodził „Konar”;... (strona 196).

Ignacy, za działalność w Armii Krajowej odznaczony został:

1. Krzyżem Partyzanckim, 01. IX. 1946 r. - Warszawa.
2. Medalem Zwycięstwa i Wolności, 29. VIII. 1968 r. - Warszawa.
3. Krzyżem Armii Krajowej, 28. X. 1973 r. - Londyn - pośmiertnie.

Fot. 9. Zaświadczenie o nadaniu Krzyża Partyzanckiego.

W swoich wspomnieniach tak z goryczą napisał o tym odznaczeniu:

I przyznaję się bez bicia, że ten Krzyż Partyzancki co mi władza ludowa dała, to ani razu publicznie nikt mnie z nim nie widział. Myślałem sobie - komu ja się będę pokazywać i chwalić. Dla mnie nie ma Polski, nie ma ojczyzny. I to się mówi wolność równość a jestem szykanowany.

Fot. 10. Legitymacja o odznaczeniu Medalem Zwycięstwa i Wolności.

Fot. 11. Awers i rewers Legitymacji Krzyża Armii Krajowej.

Krzyż Armii Krajowej został nadany Ignacemu Bobras po śmierci, rodzina z żalem wspomina, że w otrzymane pudełko z odznaczeniem było puste.

Ignacy tak opisał wyzwolenie Przedborza:

Jest dzień 17 stycznia 1945 roku. Byłem w tym czasie na gajówce na Tarasie. O świtaniu, nad Przedborem ukazał się wielki błąk i były duże wybuchy. W pierwszym srośczeniu nie wiedzieliśmy co to może być. A tu jak się w niedługim czasie okazało, to były wybuchy z katuszy. Wybuchy wysadzanych mostków na rowach przeciwczołgowych. Tych mostków było kilka: dwa koło Lembkiego, dwa na ul. Kieleckiej i dwa na ul. Włoszczowskiej. Te mostki wysadzili minami Niemcy, bo w tym dniu nadeszła Armia Radziecka. Całkiem niespodziewanie - po sforsowaniu Wisły k/Sandomierza. Armia Radziecka szła jak lawina. Strzelanina wytworzyła się koło Przedborza, od strony Włoszczowy. Niemcy też się ostrzeliwali, ale to było sporadyczne strzelanie. Raz, że w przygotowanych okopach było mało Niemców, ale też byli całkiem zaskoczeni. Wiele też się nie bronili, tylko rejterowali za Pilicą, na zachód. Główny most na Pilicy też Niemcy zdążyli wysadzić w powietrze. W godzinach popołudniowych już Ruscy maszerowali przez Taras. Widząc co jest, wybrałem się z Tarasu na Budy Nosalewickie, do żony. Młoda mieszkała wtedy u Cygana, z Irką i Andrzejem. Obawiałem się, że coś może się stać z żoną. W drodze z Tarasu na Budy pierwszy raz spotkałem się z maszerującym oddziałem. Na pierwsze powitanie ledwo się wymigałem, bo już mnie chcieli strzelać, jako szpiega niemieckiego. Ale jakoś uszło. Ubranie miałem niewymienione, bo nie było w co się ubrać.

Młoda w nocy też nie miała dużego spokoju od Armii Czerwonej. A że było więcej ludzi z Przedborza, a w ową noc nocowali też tam Jeżewscy i udało się żonie. Dali jej spokój. Młoda przecieżyła młoda, miała 24 lata, a oni byli młakami na kobiety. Dodatkowo obrosła Irką i Andrzejem i tak uszło. Ci co w nocy przyszli, oddalili się na zachód i już na razie był spokój.

Pierwsze moje wrażenie było zaskakujące, bo nie spodziewałem się po nich takiego obejścia i nieporządku jaki po sobie zostawili. Wszystko to szło od Włoszczowy, wszystkimi dającymi się przejechać drogami. Nie jechali jeszcze od Kołaskich, ponieważ za Kołaskimi, koło Opoczna została okrążona armia niemiecka, tak że ją stopniowo wykończali.

Gdy pierwsze zwarte sioły przeszli, zacząłem zaglądać do Przedborza. Mówiłem sobie, już co swoje zrobię - trzeba się brać do pracy. Co młodszych zacząłem werbować do milicji, do wojska, a reszta - trzeba się brać samorządnie do pracy. Zniszczone było dużo budynków, chociaż nad Przedborem nie było działań wojennych. Ale ruscy nie zważali z ogniem, byli zżyci z ogniem. Gdzie się dało, to zostawiali popioły. Nawet nie miał kto ratować. Dużo dobrych domów było wypalone, chociaż ich dużo nie było. W 1939 roku zostało bardzo dużo spalonych przez Niemców. Tak, że za Niemców i obecnie - 55% zostało wypalonych - przez obie armie. W

urządach, sklepach - nic nie oszczędzone, zmieszane dokumenty. W mieszkaniach zniszczone meble, pościel, ubranie. Nie spodziewałem się, że oni są tacy głodni i łakomi. A co z kulturą, to pożałuj Boże! Najwięcej to ich interesowało bimber i kobiety. Co przeszli, to zostawiali jakby przeszedł cyklon. Jeszcze wspomnę, co do higieny i porządku. Od nich nie było można nic wymagać. Gdzie spać, to za swoją potrzebą nie szedł daleko - na progu, w kuchni, w pościel. No, wszyscy tacy nie byli. Byli też kulturalni, ale oni nic nie mogli. Po cichu mówili, że nie chcą się narażać, bo to wojna. A te dzikusy to mają sobie robili ze swoich przełożonych.

Pierwsze oddziały bojowe, to miały wszystko pod dostatkiem: broń wszelkiego rodzaju, dobre wyżywienie, ubranie jak się patrzy. Dostawali spirytus i szli naprzód. Te dalsze oddziały szły coraz gorsze i głodniejsze. W ładnych warunkach nie przebiegały. Trzeba było trzymać się na uboczu, żeby z nimi mieć jak najmniej styczności.

Gdzie się człowiek ruszy, to spotyka zabitego Niemca. Obrabowanego do naga. Niemców nie było wolno grzebać, tak nago leżeli ponad miesiąc. Prawdą powiedziawszy, to Niemcy zasłużyli na to, choć nie wszyscy. Cóż, wojna i to taka, że najwięcej giną niewinnych. Moim zdaniem, dobre to nie było, niedobry miał wpływ moralny.

Broni, amunicji, różnych rodzajów wybuchowych - walało się w bród. Nie miał kto roztoczyć dostatecznej opieki. Ładnych zarządców. Dzieci a nawet nierozsądni dorośli strzelali. A wieczorem, strzelanie było, jakby to był front. I śmiał zbierać swoje żniwo, i kłek co niemiara.

Osobiście nie rwałem się do niczego, do żadnych urządzeń. Patrzę na te wszystkie porządki, jak się garną różne typy wszędzie, to mówię sobie, że ja tak nie umiem mychlować, ani kombinować. Zwracam się kilka razy do tych władz, co jeszcze sprawowali (a władza była jeszcze wojskowa) ale ci co mieli dostęp do komendy wojskowej mówili, że co mnie to obchodzi, że takie lub owakie porządki.

W końcu stycznia (1945 r.) dostałem od swoich władz konspiracyjnych pismo, że jestem zwolniony z przysięgi, że konspiracja rozwiązana, że już przed władzami AK nie obowiązuję mnie posłuszeństwo.

Ignacy postanawia ujawnić swoją działalność w AK.

Fot. 12. Zawiadanie Komisji Likwidacyjnej b. A. K.

Ucieszyłem się bardzo! Chwała Bogu, do tej wsteczności i tej poniewierki. Jak bądą młodzi, bądą robić, aby ja, żona i dzieci coś z tej wolnej Polski miały. Chociaż walka z Niemcami trwa, wojna będzie w pełni, ale nie wszyscy muszą być na froncie.

Na początek muszę przecieć gdzieś mieszkać. To mieszkanie, gdzie dawniej mieszkalem zajmował ktoś inny, oddać nie chciał. Brat Józef zajmował mieszkanie przy ul. Mostowej - trochę niby sklep, niby mieszkanie, no to wziął liśmy się z bratem. Ale brata stamtąd wygraliśmy. Burmistrzem był wtedy Kozakiewicz, jeszcze przedwojenny, ale on był tylko jako sztyd. Zastępcą został Pietruszka - taki sobie matołek. Rzekomo ogrodnik, ale służył u Niemca Rajcha - no i on rzekł. Miał podobnych do siebie doradców. I tak, zwracam się do tego Pietruszki - panie burmistrzu, pomóż mi pan otrzymać mieszkanie. A on odpowiada, ha! Wyście byli w AK, wyście nie komuniści, dla was mieszkania nie ma. I nie da sobie gadać. Cóż miałem robić, już mam wolną Polskę, za którą się tyle nacierpiałem. Trzeba się jakoś nie dać, trzeba coś robić. Może się to wyjaśni, że nie jestem wrogiem, że ja tyle lat pracowałem w konspiracji i nic mi się nie stało, co lepsze ludzie rozebrali. Może się nie dam! Na własną rękę, po wielkich trudach - odkupiłem to co dawniej zajmowałem. Zaczęła się nowa praca.

To mieszkanie było doprowadzone do ruiny. Trzeba było naprawiać, remontować, a ponieważ pieniędzy nie miałem, to trzeba było robić wszystko samemu. Umiałem sam robić, to jakoś pomagało trochę z tą? reparacją. Reparację dachu, zamków, szkleniem, robieniem pomalerek do sklepu, itd. Po pracy jeździłem, czy to chodziłem na Budy, bo była tam żona z dziećmi. Dopiero po skończeniu tych remontów – żonę z dziećmi przywiozłem do Przedborza.

Towar z okupacji trochę się zostało. Co było na wsi pochowane – przywieźliśmy i podzieliliśmy na trzy części: ja, żona i Józek. Tego towaru było mało, to i bardzo mało się sprzedawało. Trzeba było rękami robić, żeby zarobić.

Ale znowu mój pech! Słabiutko wszystko się rozwija, gdy dostaje nakaz płatniczy na dziesięć tysięcy złotych – wzbogacenia wojennego! Masz tobie – już nas ukoronowali!

Składam wnioski, zażalenia, przedstawiam świadków. Jak ja się wzbogaciłem? Jadłem do Łodzi, do ministerstwa, do danego resortu, ale to nic nie pomaga. Oni nic nie wiedzą, że to czynniki miejscowe itd. Trzeba pociąć! Tak więc, sekwestratorzy wyciągali wszystko. Razem z podaniami różnymi – kosztowało to nas więcej niż piętnaście tysięcy złotych. Wyjaśniło się po latach, że był donos do urzędu skarbowego, że ja zabrałem niemieckiego towaru pełny samochód. To był inny Bobras, a mnie było pociąć...

I znów bieda, bo to była kupa pieniędzy.

Fot. 13. Pismo Ignacego Bobras o odwołanie nałożonej kary wzbogacenia wojennego i odpowiedź Komisji Odwoławczej.

Jeszcze to nie przebrzmiało, a wymyślili Pożyczkę Narodową. Znowu wpakowali nam dwanaście tysięcy złotych. W tym czasie za sumę taką można było kupić 260 sztuk ocynowanych wiader. To była suma dla nas bardzo duża. Innej pracy nie było, trzeba było pracować samemu wymyślać.

Nowa władza umacniała się, ale zaczęli działać inni konspiratorzy, zaczęły się aresztowania. Choć ja nic wspólnego z nową konspiracją nie miałem i mieć nie chciałem, ale ludzie straszili. I kto tylko był w AK, to pozbierają ich. Bałem się, albo pracowałem, bo całkiem ciwo się ukrywałem (bezcelowo), i tym strachem stale żyłem. Byłem na Zachodzie – ale jaki tam był porządek... Jeden drugiego okrada – to mi się odechciało. Na Zachód, w tym czasie, wyjeżdżał ten co musiał, albo zrodzieje. A tych było najwięcej.

Łona sama nie mogła sobie dać rady. Wszystko szło słabo. Przyjechałem więc i wziąłem się do pracy. Tym razem robiłem ze mną Janek Smok i Kazik Smok. Cieszyliśmy się, że może jakoś wybrniemy. A robiliśmy od witu do nocy. Jeszcze towaru było można dostać. Jeszcze hurtownie miały wszelki wybór towarów. Przywoziłem blachę ocynowaną i robiliśmy brytwanny, rury, kolanka, duchówki, kolanka, ramy do kuchni z blachy żelaznej i inne różne wyroby. Obrazy, obrazki się oparwało. Ponieważ było dużo roboty i zapotrzebowanie rosło, to oparłem obrazów i szklenie powierzylem bratu Józkowi. A my robiliśmy tylko wyroby blaszane. Przywoziłem towary lub brałem od Poborskiego blachę, rysowałem, cięliśmy, a Janek i Kazik składali. Robota była dobrze rozłożona. Łona zajmowała się sklepem i dziećmi.

Mieszkaliśmy u Kularskich na górze. Mieszkanie było dobre. A tam, gdzie mieszkaliśmy dawniej, robiliśmy podręczny magazyn i warsztat. Byłem zdrowy, w pełni sił, to się robiło i widziałem się ten zarobek. Może się jakoś do czegoś dojdzie... Chciało się robić. Ja sam

mogłbym dziennie robić 50 sztuk brytwann lub 10 odcinaczek. Miałem duży wprawę. Trzeba było siłą narobić, to fakt, ale siłą robiło. Odbiorców, jak wspominałem, było dużo. Nie mogliśmy nastarczyć robić. I w sklepie sprzedawaliśmy siłą dużo.

A sekwestratorzy nie dają nam spokoju. Nic w domu nie można mieć, ani żadnych gratów, ani ubrania. Do wszystkiego siłą dobierają. Tylko kuchnia nie biorą, bo to im nie wolno. Dla przykładu podaję, że szafę na ubrania, to ja trzy razy od urzędu skarbowego odkupywałem. Były też tzw. trójki do kontroli cen. Byli to robotnicy fabryczni, którzy nie mieli żadnego pojęcia o handlu. Ale grali na nerwach, byle czego siłą czepiali, aby tylko coś napisać. A potem urząd skarbowy już wiedział jaki dać domiar.

Bo tu nie szło o handel. Tu szło o zlikwidowanie handlu i rzemiosła. A urząd skarbowy robił jakie chciał domiary czy przymiary. Dla przykładu podaję: na początku roku robiło siłą remanent w sklepie. Jechaliśmy siłą do Kołomyż, do tego urzędu skarbowego. Powiedzmy, że obrót roczny był 100 tysięcy. I tak siłą podawaliśmy z faktycznego obrotu handlu. Urzędnik nie siłą nie odzywa, tylko pisze 200 tysięcy. Robi siłą krzyk, że tyle siłą nie uhandluje, ale on nic, tylko pisze. Gdy wypisał, podaje papier i mówi, że trzeba siłą starać, aby był taki obrót. A jeżeli nie, to budować trzeba zamknąć. Inny przykład: urzędnik skarbowy przyjeżdża, robi w sklepie remanent i wszystko w porządku. Ale gdzieś w kąciku znajduje jakiś rupiec - a to jest remanent kontrolny. No i czepia siłą tego rupiecia. Cały remanent nieważny - daję domiar. I pójść i pójść - nie ma odwołania!

Wyrabiam też już nic nie można. Po pierwsze nie można nabyć towaru, a po drugie nie można dostać zezwolenia na wykonywanie danego rzemiosła. Staje siłą coraz trudniej coś utrzymać, bo wszędzie czyjeś oczy widzą.

Zdecydowaliśmy sklep zamknąć! Tak domagaliśmy się do końca 1947 roku. Człowiek towaru odsprzedaliśmy, człowiek wyprzedaliśmy na długie do urzędu skarbowego, a buble to jeszcze są do dnia dzisiejszego. Dużo wywoziliśmy na zewnątrz.

Rzemiosło - wspominałem, też już nie szło. Nie było, gdzie kupić blachy (bo najwięcej siłą trudniłem blacharstwem), ani nie było gdzie kupić szkła okiennego. Już urząd skarbowy roztoczył nad wszystkim opiekę. Bo też tym siłą zajmowaliśmy, tzn. szkleniem okien.

O innej pracy nie było mowy, bo w Przedborzu żadnych fabryk, ani żadnych warsztatów nie było. I rób człowieku co chcesz! Utrapienie bez przerwy, stale myślałem co będzie jutro. A tu przybyła nam jeszcze jedna pociecha - córka Janka. Jest nas już więcej.

I coż, my z żoną? - wrogi ludu. Dzieci maleńkie, jeszcze do szkoły niezdolne, jeść, ubrać, opalić mieszkanie trzeba. Byłem zdrowy, to różne dorywcze roboty siłą brałem i na to życie siłą zarobiłem. W przedsiębiorstwie dali mi zezwolenie na skup surowca węglowego, aby dostarczać do przedsiębiorstwa. Jeździłem po różnych miastach za skupem surowca. Ale to nie było stałe. I nie można było liczyć, że jest utrzymanie.

Fot. 14. Upoważnienie o możliwości skupowania węglowego przez Ignacego Bobras wydane w 1950 r.

I stała siłą wypadek w tej przedsiębiorstwie. Szła budowa - nie tak budowa, jak przebudowa. Zabił siłą kierownik przedsiębiorstwa, spadając z rusztowania górował w dół...

...Dla mnie to była tragedia, bo ten kierownik, nazwiskiem Dreła, dużo mi pomagał. Dawał mi z kasy przedsiębiorstwa pieniądze do skupu i miałem od niego duże poparcie. Dostarczałem na budowę żwir z Nosalewic. Zawsze dał mi zarobić. Po śmierci Dreli, mniej wyjeżdżałem za skupem.

Przedsiębiorstwo miało sklep, w którym sprzedawali: dywany, zapaski, wódek, szaliki itp. Odchodziła ekspedientka z tego sklepu, to przy poparciu Borkiewicza i Tedy zostałem przyjęty na

miejsce tej kobiety. Natychmiast, jak się dowiedział Stanikowski - też w przędzalni pracował i był przewodniczącym POP (Podstawowej Organizacji Partyjnej) - wezwał przewodniczącego Miejskiej Rady, Józefa Słoniewskiego i mnie wysiadali. Nazwy dali mi różne, od różnych reakcjonistów czarnych itp., że to AK i diabli wiedzą co.

Nadal się męcz i szukaj co się da. Nadal wykonuje różne roboty u ludzi. To czepiam się wełny - na lewo i prawo - swetrów i co można.

Rodzi się czwarte dziecko - Marianek. Jeszcze więcej potrzeb. A tu trudno zarobić, i co się robi to jakby kradł. Przecież mi się ta praca należy legalna. Przecież władza ludowa dała mi Krzyż Partyzancki. Przecież nie byłem żadnym ziemianinem, żadnym fabrykantem, ani wielkim czy małym urzędnikiem. Za sanacji tak samo cierpiałem nędzę i różne przeciwności losu - jak mój ojciec, czy brat i siostra. Mój brat starszy Jan i dwie siostry były we Francji, to jest przestępstwo? Przecież oni nie pojechali tam z rozkoszy, tylko z głodu do tej Francji pojechali. A tu dla mnie nie ma pracy! Czy to nie głupcy bezduszni, czy to miało jakiś sens życiowy. Tego nigdy nie mogłem sobie wyobrazić! Przecież nie robiłem żadnych przeszkód w zebraniach partyjnych, czy jakichś obchodach ludowych. Tego nigdy nie robiłem, ani o tym nie myślałem. A przecież bezpartyjnym też wolno żyć!

Wymyśli, na czele z Jarugą - Szkoła Metalowa, ale nie mieli do tej szkoły nauczycieli. Namówił Janka Smoka, bo on na łusarstwie się znał, bo on się uczył przed wojną w Warszawie. Ja też próbowałem, ale miałem tych samych przeciwników co i w przędzalni. Mówili, żeby mnie nie przyjmowali, bo to szkoła, że błądów udziela różne zarazy.

Ale przyjął mnie na zwykłego łusarza. Znałem się na łusarstwie, choć byłem samoukiem. Pracowałem tam półtora roku, ku zadowoleniu uczniów i przełożonych. Było tam uczniów i uczennic więcej jak 40. Nikogo swojej czarnej reakcji nie zaraziłem tak, jak ci głupcy małoduszni myśleli i wymyślali.

Za okupacji to ich nikt nie widział, bo się wszystkiego i wszystkich bali. Dopiero rok po wyzwoleniu, stali się bohaterami. Takich bohaterów to mamy dużo. Poszli do partii nie dla celów ojczyńskich, a osobistych. Poprzywdziwali poszczególne partyjne, a czemu innemu służyli i służyć.

Wracając do szkoły zawodowej - to były lata młode, po wyzwoleniu. Byli przyjmowani chłopcy i dziewczęta po ukończeniu 7-miu oddziałów. Dziewczęt było dosyć spory procent. Te dziewczyny z pierwszych lat tej szkoły - nic nie skorzystały. Szkoła była na niskim poziomie nauczania. Nie było maszyn, materiałów, jakie były potrzebne. Przetrwała cztery lata. Na koniec roku szkolnego w 1954 roku rozwiązana.

Ja znów bez pracy. Zaczęłem znów robić różne, drobne roboty. Wziąłem się za krycie dachów. Kryłem dachy u Kularskiego, u Wyciszkiewicza, u Binkowskiego, u Maja. Zakładałem rynnę w Domu Towarowym spółdzielni. Zawarłem spółkę z Rudeckim, na roboty stolarsko - ciesielskie. W szopie po drewnie u Jankiewicza. Rudecki miał kartę rzemieślniczą - to stało na niego. Na początek wyrębniaarkę do drzewa pożyczylem od Dobrzańskiego. Podstawę do piły okrągłej zrobiłem sam. Kupiłem wałek do wyrębniaarki w Kosskich od heblarki i dorobiłem podstawę drewnianą. Kupiłem dobry motor. Robota na tych dwóch maszynach szła dobrze.

Zrobiliśmy wszystkie otwory w domu u Chmielewskiego, u Nowickiej, w Spółdzielni do Domu Towarowego (tam, gdzie wcześniej mieszkaliśmy). Spółdzielnia to przejęła, bo tam się waliło. Robiliśmy też różne drobne roboty. Ja wszystkie rachunki prowadziłem i cała dokumentację robót i zarobków i kupno drewna. Nie podobało mi się jednak to, że za drogo Jankiewicz brał lokatorne od tej szopy, a po drugie Rudecki do takiej roboty organizacyjnej nie nadawał się...

Jak wspomniłem, z ul. Warszawskiej, przeprowadziliśmy się w Rynek. Tu, w Ryнку dostaliśmy mieszkanie zastępcze - kuchnia ciemna i pokój duży, słoneczny. Poza tym nie ma nic, ani kominki, ani piwnicy. Musimy kominki utrzymywać na starym placu. To jest wielka niewygodą, bo trzeba wszystko daleko nosić. Ale ciepło, innego wyjścia nie mamy. Dzieci dużo na ciemnej (ciemnej) izbie tracą, ponieważ muszą się uczyć przy świetle elektrycznym.

W domu ubogo, musimy z żoną kombinować, aby dorobić, bo dzieci już jest pięć i jest

matka mojej żony. Do jedzenia jest nas ośmiu. Potrzeby i wydatki są coraz większe. Stale trzeba żyć w nerwach, bo stale nie ma.

Nareszcie pod koniec lipca 1955 roku wzywają mnie do Gminnej Spółdzielni i oferują mi pracę magazyniera zbożowego. Rad nie rad zgodziłem się przyjąć tę pracę. 27 lipca podpisuje umowę i jadę do Końskich na przeszkolenie, bo prawdę powiedziawszy, to się na tej pracy nie znałem. I tej pracy się bałem!

Fot. 15. Pisma o powierzeniu stanowiska magazyniera i wynagrodzeniu dla Ignacego Bobras.

Ignacy Bobras jako magazynier zbożowy pracował do roku 1967, potem był na rencie chorobowej. Ataki astmy tak bardzo go wyniszczyły, że ostatnie lata życia przebywał w łóżku. Wtedy pisał swoje wspomnienia. Zmarł w 1971 r. w domu. Mimo wszystko nagle i niespodziewanie. Na katolickim pogrzebie byli przedstawiciele Związku Bojowników o Wolność i Demokrację - ze sztandarami i medalami.

Fot. 16. Zdjęcia z pogrzebu Ignacego Bobras. Na pierwszym zdjęciu w środku Józef Nowak ps. KOMAR, po lewej - brat zmarłego Józef ps. RAMA.

Przedstawiłem fragmenty życiorysu skromnego człowieka, jakże bohaterskiego i heroicznie zmagającego się z trudami życia. Obok niego stała zawsze żona Stanisława, pracowita i szlachetna. W czasach okupacji brała także udział w walce z okupantem, (ps. SARNA) m.in. byłą gońcem bojowym plutonu nr 61 – „Wydra”.

Fot. 17. Legitymacje Stanisławy Bobras o przynależności do Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Na koniec warto wspomnieć o braciach, teściu i szwagrze Ignacego Bobras.

Józef, najmłodszy z rodzeństwa, przystąpił do konspiracji równocześnie z Ignacym. W szeregach AK, przede wszystkim, pracował jako łącznik, ps. RAMA.

Fot. 18. Awers i rewers Legitymacji Krzyża Armii Krajowej Józefa Bobras, (wida ps. „Ranna” - powinno być „Rama”).

Fot. 19. Legitymacje Józefa Bobras o nadaniu Medalu Zwycięstwa i Wolności oraz odznaczenia Krzyżem Partyzanckiego.

Jan najstarszy z sześciorga rodzeństwa. W 1929 r. wyjechał do Francji „za chlebem”, gdzie żył w Chereng 50 lat. Miał zamiar wrócić do Polski, spotkać ojcowiznę rodzeństwa, ale wybuch II wojny światowej pokrzyżował mu plany. Walczył w Normandii. Po wojnie bał się wrócić do Ojczyzny.

Tomasz Smok (1888-1944) – teść Ignacego, gajowy z Tarasu, za współpracę z partyzantami, został rozstrzelany 22.08.1944 r., godzinie 5 rano, na Majowej Górze, w obawie o represje Niemców na rodzinie, nie chciał, aby go z aresztu odbijano, nie chciał uciekać.

Fot. 20. Tomasz Smok – teść Ignacego.

Upamiętniono zbrodniczą śmierć Tomasza, tablicą pamiątkową w miejscu kaźni w Przedborzu i w Spale wśród poległych leśników.

Fot. 21. Tablica pamiątkowa na Majowej Górze.

Władysław Smok (1913-1995) - syn Tomasza, pseudonim „WAWEL”, żołnierz Armii Krajowej. Brał udział w odbiciu (7/8 VIII 1943 r.) z więzienia w Radomsku ludzi, przygotowanych do wywiezienia do obozów koncentracyjnych lub skazanych na śmierć. Za działalność konspiracyjną więziony przez Urząd Bezpieczeństwa w Końskich. Odznaczony Medalem Zwycięstwa i Wolności oraz Krzyżem Partyzanckim.

Fot. 22. Legitymacja Władysława Smoka.

W tym tak „szybkim życiu”; należy czasami spojrzeć w przeszłość, pomyśleć, jakimi wartościami kierowali się w swoim postępowaniu inni, co dla nich było istotne. Czas mija szybko, mamy obowiązek „ocalić od zapomnienia”; to co ważne. Mając to na uwadze pozwoliłem sobie na powyższe opracowanie. Dziękuję Panu Wojciechowi Zawadzkiemu za cenne uwagi, dzięki którym ta praca stała się lepsza.

Podstawą tej publikacji są wspomnienia Ignacego Bobras, korzystałem także z przekazów ustnych i dokumentów jego rodziny oraz księżki Bogumiła Kacperskiego, Jana Zbigniewa Wroniszewskiego:

„Koneckie i powiat konecki 1939 - 1945”, cz. V „Konspiracja konecka 1939 - 1945. Struktury terenowe: podobwody i placówki”. ARSLIBRIS - Wydawnictwo Biblioteki Publicznej w Koneckich.

Dokumenty udostępnił:

- Wspomnienia - wnuk Ignacego - Tomasz Bobras - syna Andrzeja;
- 1, 6, 16, 20 - Joanna Baczyńska, córka Ignacego;
- 3, 4, 5, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 17 - Andrzej Bobras, syn Ignacego;
- 18, 19 - Elżbieta Gulej, córka Józefa Bobras;
- 22 - Bożenna Błotnicka, córka Władysława Smoka;
- 21 - zdjęcie moje. Wiesław Domaga